



Eberhard Hilscher

Światoczasomierz
Powieść o pewnej epoce (Fragment)¹

LUSTRUM PIERWSZE

Rozstanie z podwodną stacją

Zawirowało! W noc obfitującą w rozkosze przez akwen macicy wprost do jajowodu pruje plemnik, a jego ogonek tnie wodę niczym płetwa delfina. Dobre trzy setki milionów konkurentów oraz płynących z prądem utknęło po godzinie na osiemnastocentymetrowej trasie wyścigu, tonąc w waniliowym sosie. Pędząc niczym rakietą zwycięzca zbliża się do promienistej korony o barwie żółtka: przebicie, idealne trafienie, skurcz ma-lutkiego niczym drobinka kurzu balonika, w którego wnętrzu uruchamiają się tajemnicze reakcje chemiczne, by w ułamku sekundy stworzyć dziesięciocyfrowy kod programu na nowe życie. Rozplątana spirala DNA przemienia się w zakładkę do książki, następuje podział jądra i pierwszy podział komórki.

Już czwartego dnia galaretowata jagódka z plazmy zjeżdża ze ślizgawki, wpadając z pluskiem do jamy macicy, na której mulistym dnie zagnieżdża się blastocysta. W drugim tygodniu pęcherzyk płodowy wbrew zasadom turla się niczym piłeczka na prawą stronę pęcherzyka żółtkowego i wykluwa się z osłonki. Błazka zarodkowa sygnalizuje: *situs inversus totalis*.

¹ Tekst jest tłumaczeniem początkowego fragmentu powieści Eberharda Hilschera pt. *Die Weltzeituhr. Roman einer Epoche*, opublikowanej jako *Ausgabe letzter Hand* nakładem wydawnictwa Mitteldeutscher Verlag (Halle) w 2018 roku. Niniejszym dziękuję wydawnictwu za zgodę na publikację tłumaczenia – N.N.M.

Zaraz potem, przybrawszy sandałowaty kształt, obraca się poziomo wokół własnej osi, szybując brzuchem w dół w szklanej otoczce owodni.

Pod koniec pierwszego miesiąca czteromilimetrowa istota o bijącym sercu zdaje się wykształcać ogon i skrzela – z tej racji w owych mrocznych czasach nie wiedziała jeszcze, czy stanie się rekinem, salamandrą plamistą, jeżem czy może małpą. Obecnie jednak nie wątpi ani przez chwilę (mimo gąsienicowatego zagięcia zespalaającego żołądek z jelitem) w swoje powołanie do wyższych celów. W siódmym tygodniu potrafi potwierdzić swoją tożsamość niepowtarzalnymi odciskami palców. Dwadzieścia dni później ze względu na jedenasty palec definiuje się jako samczyk, który splatając dłonie w pięści i sikając na wewnętrzną dekorację swojej mamy ogłasza światu, że jest świeżo upieczonym człowiekiem. Najpiękniejszy czas dla płodu, który ma otrzymać imię Guido, to piąty i szósty miesiąc. Chroniony puszystym zarostem i kremem na bazie glinki bez wysiłku gimnastykuje się w podwodnej stacji owodni, robi salta, wymyki i odmyki wokół pępownicy i staje na rękach albo na głowie. Od czasu do czasu ssie kciuk lub grzebie w pupie.

Mimo że ciepły i wilgotny dzwon nurkowy ciągle jest zalewany, płód nie topi się, dotleniany obficie przez inhalator łożyska. Guido z uwagą przygląda się cybernetycznym układom w swoim ciele. Gdy po trwającym kwartał zaciskaniu powiek może w końcu ponownie otworzyć oczy, wrogi mrok nie pozwala mu przeniknąć czerwonej komory łąkowej. A szkoda, bo przezroczyste błony ukazałyby mu niczym na zdjęciu rentgenowskim bajeczny widok na wnętrze mamy oraz na jego własne. Skraca więc sobie czas, drepcząc na karykaturalnie chudych nóżkach po arenie stworzenia i bezgłośnie bijąc sobie brawo. Gdy tajemnicze wibracje niebiańskiej przepony madonny ujawniają mu, że wraz z nim rozwija się przyszła towarzyszka jego życia o krzywym nosie i płaskich stopach, prosi władcę losu o naprawę genów lub znamię w zastępstwie.

Stopniowo mały Guido zaczyna nabierać wrażenia, że pęcznieje niczym sinice i robi mu się coraz ciasniej. Od czubka swojej nieproporcjonalnie dużej, kwadratowej czaszki, po niepodstemplowane jeszcze podeszwy mierzy już 45 niezrelatywizowanych centymetrów. Daremnie używszy łokci, by zrobić sobie więcej miejsca, utyka głową w dół w czarnym niczym smoła tunelu macicy. Przybrawszy ze stoickim spokojem pozycję lotosu, marzy o wspaniałych możliwościach.

Lecz nagle ogarnia go wrażenie, że rozwarły się piekielne czeluści: ściany zaczynają się trząść, a z każdej strony, szarpiąc i ciągnąc, wbijają się w niego kliny. Niewidzialne siły wciągają jego głowę w pierścień skurczowy macicy, jakby chciały go udusić. Ogarnięty strachem i wściekłością chciałyby krzyknąć, lecz bursztynowy płyn owodni knebluje mu usta. Trzykilogramowe ciało Guida wystawiane jest na coraz to większe

obciążenie: 30 kg, 40, 45, 46 (nawet osiągając drugą prędkość kosmiczną nie trzeba znosić ciężaru dwudziestokrotności swojej wagi), 49, 50... Stop! Zatrzymajcie to! Przestańcie! Skończcie! Czy w tej cholernej gondoli naprawdę nie ma żadnej dziury?! Ach, gdyby tylko mógł wypełznąć na wolność jako lewoskrętny ślimak morski i samoistnie zostać królem!

Obraca się. Zanim straci świadomość, przekreślony człowieczek zostaje dosłownie wypchnięty.

Doktor unosi go do światła, lecz nie dostrzegając oznak życia, zajmuje się wpierw jego oddychającą z trudem matką, którą kocha. Wtedy w pokoju bezszelestnie zjawia się błękitny jeździec i bierze dziecko w ramiona. [...]

Nina Nowara-Matusik

Ⓓ <http://orcid.org/0000-0002-7088-0395>
Uniwersytet Śląski w Katowicach